

Dziesięciolecie Polski Ludowej. Dziesięć skwarnych miesięcy lipcowych od chwili pamiętnej proklamacji Manifestu PKWN-u. Wiosny i jesienie znaczone etapami dorzeczającego wysiłku. Dziesięć lat. Najłatwiejszą miarą takiej przestrzeni czasu jest widok dzieci, zrodzonych i wzrosłych już w latach wolności, mocnym śmiechem zapelniających ulice. Dzieci, wymawiających z powagą i uczuciem imiona pierwszych w narodzie.

Pozwólcie, że wspomnę jedno z mých niedawnych przeżyć. Było to przed dwoma tygodniami w Owińskach. Mieści się tam zakład dla dzieci niewidomych. Zakład, który uczy, wychowuje, specjalizuje w zawo-
dzie, który daje tym dzieciom miano, równie jak innym, pełnowartościowych obywateli. Na wystawie prac uczących się, niewidomej młodzieży zacięła mi się planza, na której widniało kilkanaście wyciągniętych konturowo domków, liniami podzielonych na prostokąty cegiełek. Prostokąty te w większej części zaklejone były czerwonymi kartonikami.

Nad wszystkim zaś widniał napis, powtórzony potem brailowskim szesciopunktem: Dzieci budują Polskę Ludową. Każde dziecko miało swój domek. Ilość naklejonych kartonikowych cegiełek świadczyła o postępach w nauce.

Każdego dnia wyczułone w dotyku palce sprawdzały swoją budowę. Domki te rosły z dnia na dzień, postępowała budowa...

Byłem wzruszony tą prostą, a jakże wymowną symboliką. Mnie powiedziała ona bardzo wiele o czasie, kiedy pozostający kiedyś w przeważającej swej masie poza nawiasem życia niewidomi, obecnie równie włączeni zostali w wielki narodowy kolektyw. Te dziejące cegiełki świadczyły bardzo wiele, świadczyły bardzo mocno dla potężnej, pięknej prawdy tych pierwszych dziesięciu lat.

Nocna rozmowa

O dziesięcioleciu można w nie skończoność... Tabełami cyfr, ilustrujących wzrost produkcji, tłumaczących wskaźniki rozwoju, suchą relacją tętniącą jednak imponującą wymową treściową, dokumentacją techniczną, przekazem fotograficznym, urodą fasad dziesiątków tysięcy nowych kamienic, dymem z nowych kominów zasnuwającym niebo.

Można też inaczej. Promiennym uśmiechem młodej dziewczyny, przechylonej ku ramieniu kochanka, serdecznością wyrazu pełnej buzi dziecięcej, strofą zachwyty poety, tęczą barw na palecie w swój sposób rejestrującego współczesność malarza, gruchaniem gołębia karminowego dłońmi starej babinki na warszawskiej Starówce, po-brzękiem skrzydeł żniwiarki ze Staroleki poznajskiej, jasnością barw Starego Ratusza, pluskiem szczupaka buszującego w nadodrzańskich szuwarach...

Czasem drobniak, jakieś słowo przez kogoś rzucone, przelotny uśmiech albo zachwyczone spojrzenie może więcej powiedzieć, niż dumna cyfra czy gigant żelbetowej budowy.

Oto takie pozornie blade zdanie. Było to na niedawnym zjeździe literatury polskiej. Noce były już ciepłe i parne; okno hoteliku literackiego, wpa-trzone w naprzeciw stojącą kolumnę Zygmunta, rozwarło nas-
ciejaż. Cichutko wlewał się do wnętrza szum Warszawy.

Siedział na moim łóżku. Kolega, pisarz ze Szczecina. Mówił, ręce drżały wzruszeniem, a głos jakiś dziwnie się łamał.

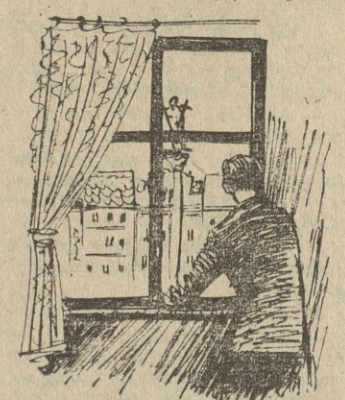
— Braknie mi tak straszliwie wielkich mickiewiczowskich skrzydeł, braknie mi szołochowskiej pasji, braknie... Bo widzisz, jakże się każdy z nas czuć musi utomnym wobec nie-możności pełnego oddania urody i potęgi czasów, w jakich żyjemy. Pomyśl, ja tkwię w Szczecinie, na zachodniej rubieży, rozkochany i w morzu, i w Odrze, i w ruinach Bogusławo-wego zamku, i w dźwiękach por-towych, a nade wszystko w lu-dziach, którzy tutaj osiedli. Lu-dziach, pomyśl ty, wobec któ-rych czynnem ja jestem? Muszę im służyć, jak najlepiej, a tak dobrze, jakbym chciał, nie u-niem... Temu Wielkopalaninowi spod Sremsu, który przypina so-bie w niedzielę odznakę przod-downika pracy. Temu chłopcu z Buga, który przez lat parę nie chciał rozpakować walizek, a teraz twardym, ponurym śmiechem odpowiada na płynące z Bonn hasła odwetu. Śmiechem i zaciśniętymi pięściami. Temu żołnierzowi, który strzeże odrzańskej granicy. Ja kocham tych ludzi, jestem z nich dum-ny, zaszczytem jest dla mnie,

NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY
DODATEK „GŁOSU”
Niedziela, 11 VII 1954
Rok V numer 26

W PRZEDDZIEŃ

że jestem polskim, i więc ich wszystkich pisarzem. Czuję, jak mało im jeszcze ze siebie daje w stosunku do tego, co powin-niem dać. Dać za to, że są takimi właśnie. Widzisz, chciał-bym umieć tak pisać, żeby ich poruszyć, wstrząsnąć, żeby za-



stać już nie tylko na kredyt, ale naprawdę na miano ich pi-sarza. Rozumiesz to? Rozu-miesz?

Piękna spowiedź pisarza. Spowiedź, która więcej może powie o dzisiejszym i jutrzejszym dniu Nadodrza, niż suche wykazy albo potoki publicz-
stycznej prozy.

Nieodpartą falą...

Tydzien temu na szosie wio-dącej do Leszna, spotkałem wiejskiego listonosza. Pedałował w pionące żarem południe na swym rowerze, obciążony dwoma pękatymi torbami, z trzecią złożoną na bagażniku. Stosy gazet, paczka książek, li-sty, depesze. Prawie dla każdej chaty wiejskiej coś wiózł z so-ba. Pisma, pisma, pisma. I tak każdego dnia. Zgadaliśmy się przez chwilę, tyle — ile trzeba na wypalenie papierosa.

— Z tej wioski pochodzę. Te-raz tutaj spółdzielnia produkcyjna — wskazał dłońmi na wy-laniającą się zza młodego za-gajnika ceglasta barwę dachów-
wek niewielkiej osady. — Przed wojną listonosz dowodził tam tylko trzy pisma. Dzisiaj wszy-scie prenumerują, ba, nawet po kilka czasopism. I książki ku-pują. Wiozę nowe wydania. Do widzenia — spojrzenie na wy-pchane torby przypominało mi-jający czas.

Patrzyłem za nim długą chwilę. Pomyślałem, że szkoda, iż nie zapytałem go przy oka-
zji, wielu było w tej wiosce an-alfabetów, tych samych, którzy dzisiaj z niecierpliwością cze-kają na nowy numer pisma, a długie zimowe wieczory trawia nad książką.

Asystowałem przy miejskich, a potem wojewódzkich elimina-cjach recytatorskich. Śledziłem festiwalowe rozgrywki amator-skich zespołów artystycznych. Przyłączyłem się niedawno do objazdowej trasy kina rucho-mego. Często stykam się z czy-telnikami, nowymi czytelnika-mi na wieczorach autorskich.

Nie chodzi tutaj o moją o-sobę. Tysiące są miejsc, setki

Eugeniusz Pauksta

spraw tętniących bujnym ży-ciem tej kultury, która nieod-partą falą wtargnęła dzisiaj w życie wszystkich ludzi, a w których nie byłem, o których nie mam pojęcia.

Czy wiecie, na co jest naj-większe zapotrzebowanie w sklepach centrali przemysłu nieblowego? Na półki książko-we, na biblioteczki mniejsze czy większe. Zawsze ich jest za mało, płyną do wytwórni wciąż nowe zamówienia. I ciągle ich będzie za mało. Bo książki sprzedaje się w milionach, bo nakłady ich podnosi się do dzie-siątków i setek tysięcy, bo pism nierz po paru godzinach nie można już w kioskach otrzy-mać.

— Poczytaj mi, babciu — prosi mała Janeczka w nowym domu osiedla robotniczego na Chwaliszewie.

I babcia troskliwie zakłada okulary, bierze do rąk książkę, chwilę jeszcze wstrzymuje się, zamysła. Palce jej, pomarszczo-ne, spracowane w długim ży-wocie — delikatnie, czule gładzą okładkę książki. Babcia przed pięć laty dopiero posiadała trudną, ale jakże radosną sztukę czytania.

— Babciu, poczytaj, babciu... — Janeczka jest dopiero w przedszkolu, jeszcze czytać nie umie.

Dziecko patrzy na rysunek „Kaczki-dziwaczki”, a babcia czyta. Gdy zaś musi na chwilę dać wypoczynek strudzonemu oczom, przeniesie je na świeżo wypraną flagę narodową. Za-wiesznie ona z ich okna w dzień 22 Lipca, w dzień dziesięciole-cia.

Babcia w podziwie kręci gło-wą. Takie dziesięciolecie, kto



by kiedy nawet pomyślał. Ho! ho!...

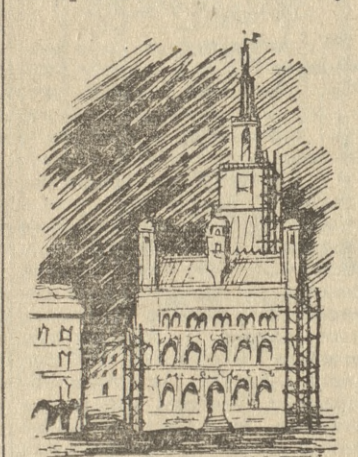
Serce w kamieniu zakłete

Ratusz w inny sposób wyzwa-la z niepamięci wspomnie-nia. Bo nie tylko dymy w tra-giczne dni pożaru wznieconego barbarzyńską ręką, nie tylko częściowa ruina i potem smut-ne westchnienia były znamie-niem przeszłości, ale także i od zaraz rodząca się wola napra-
wy złego, wola przywrócenia świetności cennym reliktom dawnej przeszłości.

Wyzwoleniu Poznania, zwy-cieństwu walkom pod Cytadela i decyzji odbudowy Ratusza pa-tronował, jak całemu naszemu okresowi, dzień 22 lipca roku

tysiąc dziewięćset czterdzieste-go czwartego. Na dziesięciole-cie dnia tego, odsłania się, jak w czarodziejskiej bajce, w da-wnych, jasnych kolorach budo-wli renesansowej cała lekkość, misterność i finezja starego ratusza. Odradza się pełny u-rok najpiękniejszej na północ od Alp budowli włoskiego rene-sansu, zaklętego w kamieniu dzieła myśli i serca genialnego budowniczego, Jana Baptysty di Quadra.

Od jego czasów nigdy jeszcze nie lśnił tak ratusz, nie czaro-wał swoją urodą, jak dzisiaj. Jakby w symbolu czasów, któ-re wybiegając śmiało w przy-szłość, tworząc ją według wspa-niałej wizji, jednocześnie siega-
ją do najpiękniejszych trady-cji przeszłości. Piękny to dar dla społeczeństwa. Jeden z ty-



sięcy darów, z milionów, jakie naród sam sobie składa.

Bo wreszcie może być sam u siebie, sam dla siebie, właśnie w imię tego dziesięciolecia.

Jesteśmy w przededniu za-kończenia okresu wielkiej prze-budowy i rozbudowy, w przede-dniu dziesiątej rocznicy tego czasu, który tak pełnie, jak je-szcze nigdy, zmobilizował ludz-
kie ręce, umysły i serca.

Czućcie, jak serca radośnie drżą?

Imponujący bilans osiągnięć

W Polsce Ludowej przywiązu je się szczególną wagę do upowszechnienia oświaty i kul-tury, o czym świadczyą zresztą wzrastające z roku na rok co-raz to nowe osiągnięcia w tych dziedzinach.

Oto w porównaniu z okresem przedwojennym, kiedy to w po-goni za uzyskaniem jak naj-



wyższych zysków kina mieściły się tylko w miastach i nie od-

JÓZEF RATAJCZAK

W cieniu Starego Miasta

W uliczkach dom obok domu klęczy garbate stropy chyląc nad brukiem, z wieży farnej ciężki rudy księżyc jak dzwon zerwany spadł ostrym łukiem.

Krzywe posagi wsparte o wnęki ku niebu wznoszą, oczy zagasłe; wokoło krąży cień ich bezręki, w cieniu — idzie Janicki. I kaszle.

Stań — wyrzuty w kamiennym mroku przez spływający z okapów przedświt — i słucha swoich młodzieńczych kroków odbitych w gotyku staromiejskim.

Słucha — biegnie echo coraz szerzej, uderza w stare, klęczące uliczki...

— Idzie tysiące chłopskiej młodzieży do szkół Lubrańskich, do pałaców Krzyckich.

Poznań, lipiec 1953 r.

PRĘGIERZ

Świt wstaje ponad targowiskiem. Przekupki drą jarmarczne sukno, tłustymi dłońmi liczą zyski nim w słońce jak w monetę chuchną.

Jęczą nabożnie farne dzwony, szczękają głucho miejskie strażę i świt wykrawa z mgieł zasłony książęcych katów tępe twarze.

Chłop wiezień stanął pod pręgierzem i nagłą ciszę krzykiem rozdarł. Stłumiła krzyk świstem uderzeń po pańsku hojna, silna chłosta.

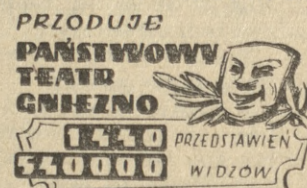
Z halabard słońce padło smugą, wbiło się w staromiejski pejzaż — i stali ludzie patrząc długo i zemstę swą zwierali w pięściach.

Nad ratusz trąbki dźwięk wyleciał, płynie wznawiany do tej pory... Dziś pod pręgierzem metr powietrza i długi, zeszyły wiek historii.

Poznań, 1954 r.

wiedzały prawie zupełnie wsi — obecnie 13 KIN POŁSTAŁYCH I 15 RUCHOMYCH, na 112 ogółem istniejących w woje-wództwie poznańskim, DO-CIE-RA DO 787 MIEJSCOWOŚCI, zapewniając szerokim rzeszom ludności Wielkopolski godziwą rozrywkę po pracy. Ogółem w roku 1953 w kinach województwa poznańskiego WYŚWIE-T-LONO 22 399 SEANSÓW, któ-re OGŁĄDAŁO 2 389 000 WI-DZÓW.

W upowszechnianiu kultury biorą również udział artyści, zwłaszcza z Państwowego Tea-tru Polskiego w Poznaniu, Pań-stwowych Teatrów w Gnieźnie i Kaliszu, występujący w róż-nych miejscowościach woje-wództwa. Ich dorobek kultural-ny jest duży, bo przecież tylko w roku ubiegłym trzy wspo-mniane TEATRY DAŁY NA TERENIE WIELKOPOLSKI 1440 PRZEDSTAWIEŃ z udziałem 540 TYS. WIDZÓW. Naj-



wiecej przedstawień dali ini-cjatorzy teatrów objazdowych — artyści z Gniezna.

W upowszechnianiu kultury w Wielkopolsce dużymi osią-gnięciami poszczycić się może „Artos”, który rozszerzając do-tychczasowy zakres działania, zorganizuje w roku bieżącym w Wielkopolsce 330 IMPREZ WIEJSKICH, 80 przedstawień Teatru Satyryków, 48 koncer-tów-recitali, 12 koncertów dla młodzieży szkół wyższych, 416 audycji muzycznych i 50 aud-
cji słownych.

W Wielkopolsce istnieje rów-nież 5 PAŃSTWOWYCH DO-

MÓW KULTURY, 91 ŚWIET-LIC GMINNYCH, 200 ŚWIET-LIC GROMADZKICH oraz liczne świetlice prowadzone przez ZSCh. Zapewniają one rozrywkę po pracy, są ośrodkami przyczyniającymi się do sze-rzenia wiedzy rolniczej.

W przeciwieństwie do wyni-ków z okresu przedwojennego bujnie rozwija się też szkolnic-



two artystyczne. W ROKU 1939 istniało w Wielkopolsce 5 SZKÓŁ ARTYSTYCZNYCH z liczbą 650 uczniów W ROKU 1954 jest już w Wielkopolsce 12 SZKÓŁ ARTYSTYCZ-
NYCH, w tym 2 wyższe z ogólną liczbą 2156 SŁUCHACZY.

Te osiągnięcia w rozwoju kultury notujemy również i w innych dziedzinach. W roku u-biegłym same teatry poznań-skie dały 1356 PRZEDSTA-WIEŃ, które oglądało przeszło 444 000 LUDZI. W tym samym czasie przeszło 270 000 WI-DZÓW SKORZYSTAŁO Z PRZEDSTAWIEŃ W OPE-RZE, a dalsze tysiące zabiega-ły o bilety na przedstawienia. Dziś bowiem bilety do Opery stałe są rozprzedane, podczaś gdy PRZED WOJNĄ — kiedy tego rodzaju rozrywki były do-stępne tylko dla garstki naj-le-piej sytuowanych — POŁOWA MIEJSC w tej samej Operze świeciła PUSTKAMI.

Tak więc, jak wykazują po-wyższe cyfry, z każdym rokiem coraz to bujniej rozwija się na-sza kultura. Jest dostępna dla mas. Z jej dobrodziejstw ko-rzystają coraz to szersze rze-sze ludzi pracy w mieście i na wsi. (L)



W BOGOCIE POLICJA RZĄDOWA STRZELA DO TIUMU

17 ludzi zabito w Bogocie. W stolicy Kolumbii odbyła się demonstracja antyamerykańska. Po-słuszny Waszyngtonowi rząd przestraszony wzrastającym oburzeniem mas ludowych posłał na wielotysięczną demonstrację uzbrojonych w amerykańskie mundury i amerykańską broń — poli-cjantów. Kule pistoletów automatycznych trafiły blisko stu demonstrantów, wśród których było wielu studentów. Zdjęcie, wykonane z kamienicy przy placu, na którym odbyła się demon-stracja, przeciw imperializmowi amerykańskiemu, przedstawia „zwycięski marsz oddziału policji” (taki podpis ukazał się w prasie amerykańskiej).
Kilkudziesięciu ludzi broczy krwią. Ranni wzywają pomocy.



Kierownikiem „kuchni”, gdzie przygotowuje się rewizjonistyczne „odkrycia naukowe” zachodnio-niemieckich pseudo-uczonek jest sam wielki mistrz odwetu — kanclerz Adenauer. rys. H. Derwich

Rewizjonizm imperialistyczny w pseudo-nauce niemieckiej

Głównym dążeniem rewizjonizmu niemieckiego podsyganego przez imperialistów amerykańskich jest rewizja granic światła, że to imperializm niemiecki wywołał obie wojny światowe, ściągając na ludzkość nieprzejrzaną morze nieszczęść; wreszcie i do rehabilitowania Prus, wmawiając światu, że Prusy nie były wcale drapieżne, zaboborne, militarystyczne i agresywne, lecz że były wzorem sprawiedliwości i rządności.

Września i Szamotyły w „Provinz Posen”

Rewizjonści głoszą, iż pragną przywrócić tylko granicę polsko-niemiecką z 1937 roku; w rzeczywistości jednak zamysłają o odzyskaniu dawnych zabiorów na ziemiach polskich. Dowodem tego, że owa granicę z 1937 roku wciąż krytykują, jako „niesprawiedliwą”, a w wydawanych przez siebie książkach „Polska” nazywają tylko to, co leży poza starą granicą Rzeszy z 1914 r.: Turcja i Sieradz leży tutaj „w Polsce” czy nawet „w zachodniej Polsce” (in West Polen), ale już Września czy Szamotyły nie są w Polsce, tylko „w prowincji poznańskiej” (in Posen), a Toruń czy Chojnice — „w prowincji zachodnio-pruskiej” (in Westpreussen). „Prowincja poznańska” i „prowincja zachodnio-pruska” nie jest już zatem dla nich „Polską”. A wśród „komisji historycznych” utworzonych przez rewizjonistów, aby fałszować historię zachodnich ziem polskich, jest nawet komisja dla „Warthelandu”!

Dla tych napaści na Polskę rewizjonści tworzą sobie „naukowe” pokrycie — metoda stara i wypróbowana. Niezliczone

dr A. J. Kamiński

instytucje niby to naukowe, organizacje, biblioteki, stowarzyszenia, służą wszystkim jednemu tylko celowi: dostarczyć niby to naukowych argumentów za tym, że stare ziemie polskie należą się Niemcom.

„Ostforschung” — niesławne tradycje

Dla tej działalności „naukowej” istnieje już stara nazwa „Ostforschung” — badania wschodnie, badania wschodu Europy. Już przed wojną istniały „Instytut Wschodniej Europy” (Osteuropainstitute) we Wrocławiu i Królewcu, które zajmowały się takimi badaniami i szerzeniem fałszów i oszczerstw o narodach słowiańskich. Obecnie instytutów takich jest o wiele więcej. Wszelkich instytutów, zespołów naukowych, rozmaitych bibliotek, wydawnictw, stowarzyszeń, fundacji, muzeów i innych instytucji, które zajmują się szerzeniem fałszów o krajach słowiańskich, o historii Niemiec i stosunków niemiecko-słowiańskich, wybielaniem militarystyki pruskiej, wybielaniem faszyzmu niemieckiego, jego zbrodni i zbrodniarzy, którzy je popełnili — jest około czterdziestu w całych Niemczech zachodnich. Najważniejsze z nich, to „Johann Gottfried Herder-Forschungsrat” i „Johann Gottfried Herder-Institut” w Marburgu; „Goettinger Arbeitskreis” w Getyndze; „Osteuropa-Institute” w Berlinie zachodnim i Monachium; „Nordost-deutsche Akademie” w Lueneburgu; Institut fuer Auslandsbeziehungen w Stuttgartu, Instytut: „fuer Voelkerrecht” w Hamburgu, „fuer Kultur- und Sozialforschung” w Monachium, „fuer Zeitgeschichte” w Monachium, „Suedost-Institut” w Monachium potem owe „komisje historyczne” — „bałtycka”, „dla Prus Wschodnich i Zachodnich”, „dla Śląska”, „dla krajów sudeckich” i „dla kraju Warty”; potem wielka organizacja „Deutsche Gesellschaft

Wielki Duńczyk — Martin A. Nexö

Zmarły niedawno autor „Pelle Zwycięzcy”, zapytany, jak można stać się pisarzem, odpowiedział tak:



„Można pisać o wszystkim. O wszystkim, co tylko jest prawdą. Wszystko, co wokół nas, obchodzi Ciebie i mnie; właśnie w kraju, w którym buduje się socjalizm, powinien się każdy o wszystko troszczyć.”

Tak mówił Nexö krótko przed swoim zgonem.

Kilkadziesiąt lat przedtem (w 1908 r.) wielki Duńczyk zaciągnął się jako marynarz na okręt, udający się do Rosji. Kiedy ten zawinął do portu petersburskiego (Lenin-grad), Nexö wysiadł... i szybko nawiązał styczność z robotnikami nadwarskiej stolicy. Zmieszany z nimi szybko się do nich upodobił i, tak jak oni, nosił czerwoną i na zmianę niebieską koszulę.

W tym właśnie okresie (z którego pochodzi zdjęcie) Martin Andersen Nexö pisał „Pelle Zwycięzcy”, powieść przetłumaczoną na 50 języków.

James Aldridge, urodzony w Australii, należy do pisarzy młodszej pokolenia. Lata ostatniej wojny spędził on na wielu frontach jako korespondent wojenny. Obdarzony z natury zdolnościami wnikliwego obserwatora i umiejętnością krytycznego patrzenia, umiał dostrzec w przeżytym kataklizmie istotne jego sprężyny i kułisy. Twórczość pisarska Aldridge’a związana jest nierozdzielnie z walką o pokój i o lepszą przyszłość ludzi. Dał temu wyraz w jednej ze swych ostatnich powieści pt. „Dyplomata” (tłumaczona na język polski), demaskując w niej imperialistyczno-reakcyjny charakter brytyjskiej polityki. Światowa Rada Pokoju, obradująca w roku 1953 w Budapeszcie, przyznała Aldridge’owi złoty medal. Fragment „Traper z Musk-O-Gee”, wyjęty ze stał z jego ostatnio wydanej książki pt. „The Hunter” — „Myśliwy”, w której Aldridge okazał się wspaniałym znawcą przyrody oraz zwierząt, opisując z prawdziwym ludzkim zrozumieniem tragedię ludzi puszczy — traperów.

fuer Osteuropakunde” w Stuttgartu i wiele innych.

Wybielanie zbrodni faszystowskich

Wszystkie te instytucje prowadzą wykłady i odczyty, wydają czasopisma i książki, prowadzą najrozmaitsze badania, jak najbardziej „naukowe”; tłumaczą swoje książki, broszury i biuletyny na angielski, francuski, hiszpański i portugalski, obsyając nimi całą kulę ziemską, a szczególnie obie Ameryki. Cały ich wysiłek zmierza do zniekształcenia powszechnych pojęć o faszyzmie, imperializmie i militarystyce pruskiej i niemieckim, do przekonania świata, że imperialistycznym Niemcom dzieje się krzywda, że należy im oddać dawne zabory i panowanie nad Europą w dodatku.

Przed postępową nauką polską i słowiańską stoi więc ważne zadanie, aby wspólnie z postępową nauką niemiecką w Niemieckiej Republice Demokratycznej przeciwstawić się wszystkim siłom tej rozlewającej się po świecie fali truciizny.

Drogą rzetelnych, rozległych badań naukowych trzeba więc zdobywać i głosić prawdę zarówno o sprawach wschodniej Europy, jak i o historii Niemiec, historii imperializmu niemieckiego i jego zbrodni, o rzeczywistym obliczu stosunków niemiecko-słowiańskich.

„Głos o pomstę do nieba wołający”

Przed nami leży ciekawy dokument, noszący taki właśnie tytuł. Jest to ulotka z Wrześni podpisana przez „Jednego z bezrobotnych”, a którą kolportowano we Wrześni wczesną jesienią 1938 roku. Czytamy w niej takie oto słowa:

„... dola bezrobotnych jeżeli już nie jest wprost beznadziejna — to tragiczna... Eksmitowani bezrobotni nie mogą zapłacić komornego, zarabiają przy pracy pod magistratem 14,52 zł, a ulokowani są w „baraku kolejowym”, przerebionym z szopy na mieszkanie.

Mają dach nad głową, tak twierdzą niejedni, lecz aby zobaczyć nędzę i poniewierkę tych ludzi, trzeba iść samemu się przekonac. Rodziny składające się z 5—6 i siedem osób mieszkają w jednej izbie, odgródzonej od sąsiadów deskami (szalówki)... Nie to nikogo nie wzrusza, że woda w czasie deszczu leje się przez dziurawy dach, że dzieci nieletnie w liczbie 45 przymierają głodem, że jedzą surowe ziemniaki, niedojrzałe owoce... Ojciec włożył z głowy wyrzyna i żeby z głodu zaczął, a dzieci wołają chleba... Zejdźcie raz, panowie, z piedestału swej dumy, pochylcie głowy w ciemnych drzwiach szopy zamieszkałych przez tych, którzy dziś już pasa zaciskać nie mogą. Spójrzcie raz i nie deklamujcie o pracy społecznej i sprawiedliwości przy herbatce... Aż strach pomyśleć, że tam w „baraku kolejowym” gdzie mieszkają 23 rodziny zamiast sufitu — znajduje się papier co stwarza niebezpieczeństwo szybkiego powstania pożaru zwłaszcza, że bezrobotni przeciągnęli rury od pieca (kominy) przez dziury wycięte w papierze. We wspomnianym „baraku” znajdują się dwa wejścia. Wyobraźmy sobie tylko, że powstaje pożar (jak to już dwa razy miało miejsce) wówczas przez te dwa wyjścia ratować się muszą 23 rodziny z całym dobytkiem.

Strach pomyśleć co byłoby na wypadek epidemii — co bardzo szybko może powstać wskutek marnego odżywiania... A zima się zbliża, dzieci głodne, nie okryte, opał w ogóle nie ma, pracy nie ma. Co robić? Pukać do miłosierdzia ludzkiego?... Musi się znaleźć dla ponad 600 bezrobotnych pracę i zarobek, dla ludzi, którzy chcą pracować, by widmo głodu (już panującego) i nędzy odgnać z ich mieszkań. Taki sam los czeka ci, którzy wywalczyli nam Niepodległą Polskę — niejedni powstańcy wielkopolscy...”

Ulotka nosi datę 19 września. Musiała dość długo kursować wśród społeczeństwa, skoro dopiero 16 listopada dostał ją w ręce sam stróż sanacyjny porządku powiatowego komendant Policji Państwowej we Wrześni i uczynił co do niego należało: zameldował o „istnieniu wywrotowych elementów”, a rozpaczliwy apel „Jednego z bezrobotnych” uwierzył w własnym podpisem: „B. SZAWLUK, aspirant PP”. Pozbawieni pracy oczywiście dalej głód cierpieli.

James Aldridge

Traper z MUSK-O-GEE

Boy obserwował Burkego; siedział on na ławie i z wprawą doświadczonych trapera ścigał skórę z bobra.

— Wędrujemy, aby zbadać jak wygląda tu ze zwierzętami i rybami — wyjaśnił Burke — Lawson jest ichtiologiem...

Wskazał przez ramie na Lawsona starym i nadłamanym nożem.

— A pan, czym jest z zawodu? — spytał Roy.

— Zoologiem! — odpowiedział Burke.

— Przypuszczalnie więc fałchowcem od bobrów.

— Tak!

— Czego wy właściwie szukacie w Musk — O-Gee? — zapytał nagle Zel Saint Clair.

— Badamy życie bobrów i ryb. To jest wszystko... powtórzył Burke.

Lawson zerkał na Saint Claira.

Nie macie się czego bać, chłopcy! — odezwał się. — Nie mamy nic wspólnego ze strażą leśną...

Rozwarły się drzwi chaty. Jack Burton wynurzył się z ciemności. Wszedł przyproszony swym żym śniegiem, twarz mu płonęła a ramiona ugięły się pod ciężarem dwóch pełnych worków. Oprócz swego, niósł jeszcze worek Roya.

— Jak się masz, Jack? — zwrócił się do niego Roy. — Czy śledzisz trop?

— Twój worek zdrowo uciskał moje plecy — odpowiedział Jack wymijająco.

— Ustrzelisz więc wapi? —

Nie! — Jack przyglądał się obcym ludziom, a pytanie Roya skierowane wprost do niego, rozproszyło w nim nieufność. Zresztą Burton nie miał niczego do ukrywania. Posiadał przecież zezwolenie na odstrzał.

— Wygląda, że w tym roku było mało wapi. Jak w ogóle przedstawia się u was z nimi? — zapytał Lawson.

— Jest ich też coraz mniej — odpowiedział Roy. — Wszystkiego jest coraz mniej...

Obaj zaczęli wypytywać Roya o wszystkie szczegóły jego traperskich zajęć, o bobry i o re-



wtry łowieckie. Burke skierował rozmowę na temat zwyczajów zwierząt. Z początku padały tylko rzadkie słowa, lecz powoli dał się Roy wciągnąć. Wbrew swej woli, krok za krokiem wyciągał z niego Burke zwierzenia. Częściowo zartem, częściowo lekimi docinkami. Nawet mały Zel Saint Clair, wyciągnięty niedbale na posłaniu Roya, wniósł się w końcu do rozmowy. To wprowadziło decydujący zwrot w nastroszą i rozwiązało nagłe języki.

— Przecież to jest śmieszne! — powiedział Zel, lustrując swymi czarnymi oczami porożniane na powale skórki bobrze. — To jest naprawdę śmieszne, kiedy jedne zwierzęta żyją stale z pewną określoną wybranką, podczas gdy inne żyją w puszczy samotnie i korzystają ze wszystkiego, co im w drogę wędzie...

— W całej puszczy nie znajdziesz jednego zwierzęcia, które by wyłącznie żyło z jedną tylko samicyką! — oświadczył Roy.

— A bób? — skierował pytanie Zel w jego stronę.

— Również bób nie jest wcale wzorowym ojcem rodziny, za którego powszechnie uchodził — stwierdził Roy.

— A przecież mieszka tylko z jedną samicyką! — obstawał przy swoim Zel.

Lecz Roy odpowiedział:

— Tak, z pewnością pędzi on żywot z jedną tylko samicyką, buduje sobie domek, troszczy się o swoją żonę, potomstwo, a jednak przepada na jedną noc, aby szukać innej... Miałem sposobność chwycić w moje sidła, stare, poważne bobry. Prawdziwi patriarchowie licznej rodziny... Ciągnęli przez groble za śladami samicek innych bobrów. Zresztą tchórz czyni tak samo... Pozostawia samicykę przy budowie gniazda a sam szuka sobie innej. Zgadza się, mister Burke? — pytał Roy.

— O, tak! — potwierdził Burke.

— A teraz opowiem wam coś, o czym nie słyszeliście jeszcze nigdy! — powiedział Roy.

Dolozyl świeżych szczap brzozych do ognia. Jack wychylił się do przodu, aby obserwować jak obejmują je płomienie.

Tam w dolnej Kalifornii spotkałem kiedyś bobra, samotnika. Stary jegomość zbudował sobie chatkę, w której żył całkowicie odosobniony. Czy jest to do wiary, mister Burke?

— W Kalifornii jest wszystko możliwe! — zgodził się przyjaźnie Burke.

— Przecież ty nigdy nie byłeś w Kalifornii! — przerwał Zel Royowi. Nie opowiadałeś...

Roy nie zwrócił uwagi na zarzut.

— Pomyślcie tylko o łasicy... Tam w dolnej Kalifornii pożera ona najcenniejszą jaja. A gdy nie ma jajek, wówczas siada na brzegu morskim i czeka aż przypływnie niesie jej martwe ryby. To jest charakterystyczne dla tych okolic. Również bób tam leniwieje. Jeżeli nie jest zmuszonym, nie buduje wcale grobów. Zapomina jak się buduje kanały, żyje w sąsiedztwie farm i obgryza drzewa owocowe. Jednym słowem prowadzi wyjątkowo luksusowy tryb życia... ten bób!

Smiali się wszyscy.

— Może to nieprawda, mister Burke? — spytał i ciągnął dalej.

— A teraz opowiem wam jeszcze coś, co spotkało mnie pewnego dnia w żeremiach bobrzyczych...

— W Kalifornii? — spytał Zel.

Nie! Przed dwoma laty, nad czterema wielkimi jeziorami — oparł Roy. — O pierwszym brzasku, natknąłem się na chatkę i znalazłem w jej wnętrzu starego bobra... Chrapał tak potężnie, że o mało mu głowa nie pękła. A nie widział Pan nigdy lisa — pytał Roy Burkego bez mała natrętnie — który z kawałkiem drewna w pysku plynął przez jezioro? Lis czeka, aż wszystko rebotwo przesiadujące w jego futrze, wyniesie się na czubek drewna... Po pewnym czasie puszcza on drewno na wodę i sam wraca na brzeg.

Gdy ukupczył pierwszą historię o lisie, opowiadał jeszcze dalej drugą o lisie, który tropiąc zająca, stał gdzieś po śladach swej ofiary i... jak — steruje on swoim ogonem — w czasie biegu. Gdy wyczerpał temat „lisa”, przeszedł z kole na dzikie koty. Opowiadał, jak niezręcznie dziki kot prześladował zająca: sadył przez śnieg dużymi skokami, zamiast sunąć po nim jak na nartach. Pan przecież wie, że dziki kot poluje na bobra, podchodząc podobnie jak myśliwy, który stawia sidła! — powiedział do Burkego. Pan wie również dobrze, że posługuje się on ścieżkami tymi samymi co człowiek. Lecz Burke nadal milczał.

Po dzikim kocie przyszła kolej na niedźwiedzia.

Niedźwiedź — tłumaczył Roy — zabija tylko wówczas, gdy nie może znaleźć niczego innego do jedzenia. Jak wszystkie inne wielkie zwierzęta wybiera raczej spokojniejszy tryb życia... młast mordu i walki. Wie pan również, że zezwala często nawet

ilustr. D. Cholewcyńska

tchórzowi dzielić z nim swoją zdobycz?

Potem przeszedł na łasice. Pewnego dnia — ciągnął Roy — znalazłem gniazdo łasicy. Pełne po brzegi zab... Poukładane przepiśowo, jak sardynki w puszcze...

— A wapi? —

Gdy ustrzelił się wapi na głębokiej toni, nie pójdzie na dno.

— A ryś?

Pan wie przecież, że ryś gdy ciągnie przez wodę wówczas plynie w prostej linii. Jak po sznurku...

Zapas historyjek Roya był niewyczerpany, Burke zgubił się w ich gąszczu, podobnie jak i Roy. Odpowiadał mu, wyciągając przy okazji własne historie z leśnymi zwierzętami. Różniły się one zresztą bardzo mało od opowiadań Roya. Burke uzupełnił jeszcze, że bobry walczyły z obstrukcją żołądka, wyszukując pewne rośliny wodne działające przeczyszczająco. Opowiadał Royowi, że niedźwiedź zapada w sen zimowy, ponieważ w porze zimowej trudno jest z pozywieniem. A nie dlatego, jakoby mu jakiś instykt na to wskazywał. Tłumaczył mu, że poczęte w łonie matki nie-



dziewięćlatka, właściwie zupełnie nie rosła a rozwijają się dopiero wówczas, gdy matka udaje się do swojego ciepłego barłogu zimowego. Rozwodził się nad tym, jak mały szcurek prątkowany, typowy spioch zimowy, obnika w tym okresie ilość uderzeń swego serca z trzechset do czterech uderzeń.

Również zapas przygód Burkego okazał się niewyczerpanym; szczególnie jednak wybierał te, które miały być dla niego... (Ciąg dalszy na str. 4)

Kilka informacji o odbudowanym Starym Ratuszu

Długotrwałe prace rekonstrukcyjne przy odbudowie Starego Ratusza można zasadniczo uważać za zakończone.

Jakich dokonano głównych zmian w porównaniu ze stanem Ratusza z okresu przedwojennego? Przede wszystkim usunięto czarno-żółty kolor, który przy odnawianiu przez władze pruskie na szego zabytku w latach 1910 do 1913 miał mu nadać „poważny charakter miast pólnocnych Niemiec”. Ratusz otrzymał zgodnie z koncepcją budowniczego Jana Baptisty Quadro — kolor jasnopiaskowy.

Zniesiono następnie pruską nadbudówkę 3 piętra, za murowano otwory okienne w attyce oraz zasłonięto dach przez co podniesiono wygląd gmachu. Attyka — na miejsce dawnych napisów łacińskich — otrzymała teksty humanistów polskich i ustep z Konstytucji Polskiej Ludowej, utrzymane w dawnym układzie i kroju renesansowych liter. Fasadzie głównej (wschodniej) nadano pierwotną gamę kolorystyczną. Współczesna koncepcja ma jedynie galeria królów — w obec braku danych ikonograficznych.

Wnętrze przywrócono jego pierwotny charakter. Z Sali Odrodzenia usunięte zostały przemalowania brudno-szare, a z Sali Królewskiej — pruska tematyka „myśliwska”.

W salach 2 piętra przywrócono stropy belkowane wzorowane na kamienicach poznańskich z XVI w. i obniżono je do poziomu gzymsu wieńczącego.

Wreszcie wieża odbudowana została według kształtu z 1783 r. Cecha charakterystyczna jest zachowanie trzonu gotyckiego w surowej cegle, pochodzącego z XV wieku. (H. B.)

Zamieszczamy obszernie fragmenty artykułu, który ukazał się na łamach czasopisma „Literaturna Gazieta”, nr 79

Energia atomowa w służbie ludzkości

E. Adirowicz

dr nauk fizyczno-matematycznych

27 czerwca 1954 r. Przyszły historyk zanotuje, że tego dnia uruchomiono w ZSRR pierwszą na świecie elektrownię przemysłową o napędzie atomowym. Obecnie do starca ona energii elektrycznej przemysłowi i rolnictwu przyległych rejonów. Po raz pierwszy turbina porusza nie energią chemiczną paliwa, nie mechaniczną energią spadają-

cej wody, lecz wyzwolona przez człowieka energia jądra atomowego. Jest rzeczą najzupełniej logiczną, że pierwszy swój krok energetyka jądrowa — pokojowa i przemysłowa — uczyniła właśnie w kraju radzieckim. Człowiek stopniowo opanowywał zasoby energetyczne przyrody. Zmusił wodę i wiatr, naftę i węgiel do pracy dla siebie. Można powiedzieć krócej: człowiek zmusił do pracy słońce. W paleniskach elektrowni i maszyn parowych, w cylindrach silników spalinywych wyzwala się energia promieni słonecznych, zmagazynowana przez ro-

śliność przed setkami milionów lat.

Ile siły daje kilogram uranu?

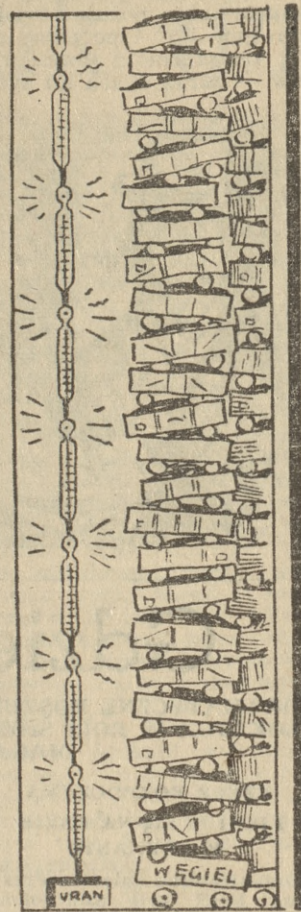
Dzisiaj, na naszych oczach, rodzi się nowa energetyka — energetyka jądra atomowego. Na razie skala jej jest niewielka, ale właśnie do niej należy przyszłość. Ujawnienie jądra atomowego można porównać z takim krokiem milowym w rozwoju społeczeństwa, jakim było opanowanie ognia.

Kilogram uranu daje 20 milionów kWh. Tyle właśnie, ile 2500 ton najlepszego węgla. A przecież dokonanie rozpadu uranu, to tylko pierwszy krok energetyki jądrowej, wydobywamy bowiem zaledwie tysięczną część energii zawartej w jądrze atomowym. Nauka ustaliła, że energia atomowa zawarta jest nie tylko w uranie, plutonie i wodorze, ale we wszystkich otaczających nas ciałach. Zapasy jej są niewyczerpalne.

Źródło atomowej energii

Wiemy obecnie, że jądro atomowe jest areną walki kolosalnych sił. Składa się ono z dodatnio naładowanych cząstek — protonów oraz obojętnych cząstek — elektronów. Działające pomiędzy protonami siły elektryczne odpychania starają się rozzerwać jądro. Odwrotnie, siły przyciągania jądrowego utrzymują cząsteczki razem i przyczyniają się do zachowania całości jądra. Uran dlatego okazał się pierwszym paliwem jądrowym, że najłatwiej było dla niego właśnie stworzyć warunki, w których siły elektryczne odpychania przewyższają przyciąganie jądrowe. Jądra rozpadają się przy tym, a tworzące się od-

łamki rozlatują się z ogromną szybkością. W reaktorze jądrowym (kotle uranowym), gdzie następuje przemysłowe otrzymywanie energii atomowej, wszystko to odbywa się w śro-



$1 \text{ kg} = 250$
URANU WAGONÓW
WĘGLA

dowisku moderatora — grafitu i niektórych innych substancji. Przechodząc poprzez warstwy grafitu, cząsteczki powstające przy rozpadzie jądra, zostają zahamowane w swym biegu i oddają swą energię moderatorowi, który nagrzewa się z tego powodu. Otrzymane ciepło wykorzystuje się dla ogrzania wody lub jakiegokolwiek innego płynu, dla zamieniania go w parę, dla przegrzania pary. Z kolei para wprawia w ruch turbinę, połączoną z generatorem prądu elektrycznego. W ten sposób energią jądrową, zamieniono w energię elektryczną.

100 tys. kilowatów z... 20 deko uranu

Warto wspomnieć, że elektrownia jądrowa o mocy 100 tys. kWh może zużytkować dziennie około 200—250 gramów uranu. Elektrownia ciepła o tejże mocy zużywa codziennie setki ton węgla. Znikome zużycie paliwa jądrowego pozwoli na budowanie elektrowni atomowych w dowolnym miejscu. Jest to szczególnie ważne dla okęgów oddalonych od źródeł paliwa i energii wodnej.

Opanowanie energii jądra atomowego oznacza nie tylko perspektywę olbrzymiego rozwoju energetyki, ale również jakościową przemianę całej techniki. Przejście na paliwo atomowe z czasem dokona rewolucji w dziedzinie transportu. Znajdzie swe rozwiązanie wiele zagadnień, których nie można było rozwiązać przy pomocy silnika spalinowego czy odrzutowego. Samoloty zaopatrzone w reaktor jądrowy będą miały faktycznie nieograniczony zasięg lotu bez lądowania. Zastosowanie paliwa jądrowego otwiera również obiecujące perspektywy zastosowania go w transporcie morskim, kolejowym i innych.

Jądrowa alchemia

W przyszłości paliwo jądrowe pozwoli na zaniechanie spalania węgla i nafty — cennych i ważnych surowców dla wielu dziedzin przemysłu chemicznego.

Wspaniale rozwinięte nie nowa chemia jądrowa; przebudowa jądra prowadzi bowiem do głębokich zmian wszelkich właściwości atomu: jeden pierwiastek przekształca się w drugi, np. azot — w tlen lub rtec — w złoto.

Innymi słowami, współczesna nauka urzeczywistnia tę właśnie przemianę pierwiastków, o której w średniowieczu marzyli alchemicy i która do niedawna uważana była za niewykonalną.

Atomy, stwarzane sztucznie w kociach jądrowych, są promieniotwórcze. A promieniotwórcze, jak wiadomo, zabija bakterie, leczu złośliwe nowotwory, wywołuje głębokie zmiany w właściwościach biologicznych, chemicznych i fizycznych materii. Naturalne pierwiastki promieniotwórcze są niezwykle rzadkie i drogie, natomiast

reaktory jądrowe mogą produkować tanie sztuczne pierwiastki promieniotwórcze, w ilościach odpowiadających setkom ton radu.

Fizyka jądrowa dopomoże medycynie w uwolnieniu do mostw od bakterii w sterylizowaniu produktów spożywczych, w unicestwieniu chorób zakaźnych, stworzeniu skutecznej terapii przy pomocy promieniowania. Potężne źródła promieniowania — reaktory jądrowe — doprowadzą do powstania i rozwoju nowej dziedziny przemysłu — radioaktywnej technologii metali, mas plastycznych i innych materiałów.

Energia atomowa wkroczyła po raz pierwszy w życie ludzkości nie jako wielkie dobro, lecz jako zła siła zniszczenia. Ruina dwóch miast i śmierć 100 tys. ludzi przypieczętowały jej pierwszy krok. Również i dziś znajdują się ludzie, za Oceanem nazywający siebie uczonymi, którzy na szpaltach prasy obliczają możliwości dalszego zniszczenia, nowych masowych morderstw. Inni zaś, popadłszy w panikę, krzyczą o szkodliwości nauki, niosącej jakoby zgubę ludzkości. Komunikat rządu radzieckiego o uruchomieniu pierwszej elektrowni atomowej dowodzi, że w rękach ludzi radzieckich energia atomowa — to nie środek zniszczenia, lecz środek tworzenia, że nie ma ona żadnych właściwych sobie cech „niszczyielskich”.

Tylko dla pań!



Nie nowego pod słońcem — tak brzmiała stara łacińska sentencja, choć w historii ludzkości wielokrotnie okazało się, że rzymska mądrość nie zawsze była słuszną. Jednak, jeśli chodzi o kostium kąpielowy — rzeczywiście niewiele nowego nasze panie wy myślają. Słusznie bowiem, wychodzący dziś z mody kostium dwuczęściowy, był zwa ny rzymskim. Ilustracja góra przedstawia „corpus delicti” — mozaikę liczącą sobie skromnie... 1500 lat. Została ona odnaleziona w „Rzymskiej Willi” w miejscowości Piazza Armerina na Sycylii. Tak oto kąpały się starożytne rzymianki.

Nowa moda kostiumów kąpielowych, też nie jest nowa. Te różne zdobienia, falbanczki, wystrojenia są zaczerpnięte z wzoru, który również reprodukuje. Pochodzi on z 1912 roku. Różnica jest tylko jedna — ramiączka, które u-



legły słusznej likwidacji. Naszym paniom, dla ich swobody ramion — przysłał z pomocą „wyższa technika” stroju. Zasadniczych różnic jednak nie dostrzeżę się.

Tu i tam

8.500 km bez „pany”. „Najbar dziej luksusu w samochodzie angielskie czy amerykańskie nie mogą się równać z waszym IFA F-9” — oświadczył sprzedawca samochodów — Habib Jeghali z Libanu.

Przebył on drogę z Beirutu do Berlina (8.500 km) w ciągu 10 dni, niekiedy na bardzo zanieczyszczonych szosach. Zdaniem libańskiego fachowca, fakt, że IFA F-9 zdała tak trudny egzamin na celujacy (ani jednego defektu motoru, bez jednej „pany”) — otwiera przemysłowy samochodowemu NRD szerokie możliwości eksportu na Bliski Wschód.

TELEGRAF A LA ZATOPEK. Pewna wyprawa naukowa po powrocie z Peru ogłosiła, że w Państwie Inkasów istniał „biegany telegraf”. Kraj był pokryty siecią domków, zamieszkałych przez urzędników i kilku biegaczy. Ważne wiadomości państwowe przekazywano „biegiem” z rak do rak. Z miasta Quito (dziś w Ekwadorze) do stolicy Cuzco (w Peru) oddzielonych od siebie trasa 2000 kilometrów, szła a raczej biegła depesza przez 5 do 6 dni, ze średnią szybkością 350 kilometrów dziennie.

Odciski także świecą

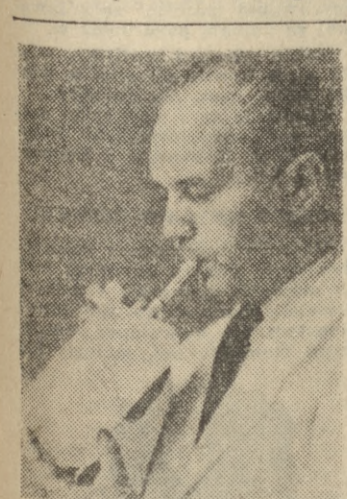
Świetna metoda wczesnego wykrywania zmian w tkankach

Foto-luminiscencja, jest to powstawanie własnej energii świetlnej pewnego ciała — pod wpływem obcego źródła światła. Jednym z rodzajów tego zjawiska jest fluorescencja, charakteryzująca się tym, że „świecenie” ustaje z chwilą zgaśnięcia źródła światła. Fosforescencją nazywamy własne wydzielanie światła, trwające także po zamknięciu dopływu obcej energii świetlnej. Świecenie takie trwa od 0,001 sekundy do kilku dni.

Zdolność foto-luminiscencji posiada bardzo wiele ciał organicznych i nieorganicznych. Analiza luminiscencyjna daje niespodziewane wyniki. Jeżeli na przykład promienie pozajądrowe padną na oparzoną część ciała, zdraśniącego, lub odciski, urzeczywistniają, że w oczu fluorescencja zmniejsza. Tej tkanki, różniące się kolorem od zdrowej. Fluorescencja natomiast pozwala ujawnić początek choroby tam, gdzie inne metody zawodzą. Tak na przykład pomarańczowa fluorescencja jamy ustnej wskazuje na chorobę zębów. Zielonkawa fluorescencja włosów powstaje przy zaraźliwym grzybku już we wczesnym stadium jego rozwoju. Również przy pomocy fluorescencji można rozpoznać początek raka.

Fluorescencja wprowadzonych do organizmu lekarstw i antybiotyków (chinina, penicylina) pozwala śledzić ich działanie i kontroluje szybkość cyrkulacji krwi.

Poważne zastosowanie ma fluorescencja w rolnictwie. Według koloru wydzielanego światła owoców, warzyw i innych produktów rolniczych daje się wykryć początek gnicia w takim wczesnym stadium, który jest nierozpoznawalny nieuzbrojonym okiem. Pozwala to zapobiegać psuciu się produktów w przechowywaniu. Metoda ta jest praktyczna przy sortowaniu ziemniaków przeznaczonych do sadzenia.



Osuślwa poduszeczka czy balonik dla dzieci?

Do czego służy ta gumowa poduszeczka? Do siedzenia? Owszem, lecz nie na krześle a w... wleżeniu. Jest to bowiem prosty przyrząd, służący do wykrywania... nieszczytych kierowców pojazdów mechanicznych. Czołowiek pijany, wydziela pewne ilości par alkoholowych. One właśnie zabarwiają żółtą rurkę — wypalzonego ostatnio przez niemieckiego inżyniera a paracaku — na zielono. Jest to szybki, niezawodny sprawdzian „nieścisłości” kierowcy.

rodzaju daje zielony kolor, przeszloroczna — niebieski, a dotknięte wilgocią ziarna świecą kolorem żółtym. Ziarna uszkodzone przez pleśń, szkodniki, lub samo rozgrzane świecą różnymi kolorami od niebieskiego do fioletowego i znacznie jaskrawiej niż zdrowe. Sporysz w mące łatwo można wykryć, gdyż fluorescencjuje kolorem ciemnoniebieskim, lub niebieskim, zależnie od gatunku. Im mąka zawiera więcej otrąb, tym świeci silniej.

Fluorescencja ujawnia jakość różnych materiałów, jak papieru, szkła, kauczuku, minerałów; wykrywa nikiel ślady trucizn w sądowej chemii, podrabianie dokumentów, czytanie tekstów zalanych atramentem, którym były napisane, wykrywanie plam krwi w kryminalistyce i w sądowej praktyce. Metoda ta stwierdza oryginalność obrazów i ślady odnowień lub fałszerstw w malarstwie itd.

LEKARZE USUWAJĄ najstraszliwsze zeszpecenia ludzkiej twarzy

Nazwa „operacje plastyczne” określa się zwykle zabiegi przeprowadzane dla odwrócenia całości kształtu zniszczonych zupełnie, lub częściowo zniszczonych organów ludzkich. Operacji tych dokonuje się za pomocą przeszczepienia tkanki z miejsca



Przed operacją

najbliższej położonego miejsca operacji, lub za pomocą transplantacji z innych miejsc, wreszcie przy pomocy żywych, względnie martwych tkanek ludzkich lub zwierząt. Równocześnie z odwróceniem kształtu najbardziej zblizzonego do kształtu pierwotnego organu — przywraca mu się jego prawidłową funkcję.

Tybetańczycy 5000 lat temu operowali nosy

Chirurgia otwierała nie jest dzieckiem naszego stulecia. Historia jej rozwoju jest ściśle związana z „rinoplastyką” — o peracjami „nosa”, o którym wzmianki spotykamy już w „AYUR veda” — księdze poznania życia indyjskiego pisa-ru. Strata, żyjącego 1000 lat przed naszą erą. Tego rodzaju operacje wykonywane były również w Egipcie, starożytnym Rzymie i Grecji. Przed niedawnym czasem stwierdzono, że operacje nosu wykonywali lekarze tybetańscy już 3000 lat przed naszą erą.

Przyczyna podejmowania się pierwszych operacji u starożytnych narodów było odcięcie nosa przestępcy. Kara ta, jak również odcięcie warg, była na ówczesne stosunki zjawiskiem bardzo częstym. Okaleczeni ludzie szukali pomocy u lekarzy.

Później największym centrum operacji plastycznych w okresie renesansu były Włochy. Już wóczas zastosowano przeszczepy płatów skóry wziętych z reki lub policzka. Jednakże lekarze zajmujący się tymi operacjami przekazywali dobyte doświadczenia jedynie swoim synom lub dal-

szym krewnym — stąd trudno powiedzieć o nich coś bliższego. Tajemnica wiedzy chirurgicznej kończy się dopiero z chwilą ukazania się w r. 1537 pracy prof. Tagliacozza (z Bolonii), dotyczącej operacji plastycznych nosa i ust za pomocą skóry ramienia. Stąd nazwa tego rodzaju operacji „systemem włoskim”.

Doświadczenia prof. Filatowa

Po tym okresie dalszy rozwój operacji plastycznej twarzy datuje się dopiero z początkiem XIX wieku, po zapoznaniu się Anglików (w okresie zagarnięcia Indii) z metodą hinduską, którą potem zaczęli stosować w Anglii. Odkrycie sposobu możliwie łatwej transplantacji, przeszczepów skóry, zastosowanie po raz pierwszy do operacji nosa chrząstki kostnej, wreszcie bezcenne doświadczenia i stworzenie specjalnej metody przez radzieckiego uczonego prof. Filatowa — wszystko to spowodowało, że rozwój chirurgii plastycznej w wieku XX posunął się wielkimi krokami naprzód.

Konieczność usunięcia skutków zranień i straszliwych okaleczeń pierwszej wojny światowej doprowadziło chirurgię plastyczną do udoskonalenia techniki i metody operacyjnej. Uczeń radziecki w oparciu o szerokie



Po operacji

doświadczenia kliniczne rozpracowali ostatnio nowe receptury masy plastycznej, której zastosowanie jak dotychczas, dało wspaniałe wyniki u chorych.

Nowa metoda — masy plastyczne

Powodem tych nowych poszukiwań dokonywanych przez uczonych radzieckich były doświadczenia płynące z operacji przy zastosowaniu w chirurgii twarzy chrząstki zębowej, wziętej bądź od operowanego pacjenta (autoplastyka) lub też wykorzystanie

chrząstki od niezjącego już człowieka.

Metoda autoplastyki chrząstki jest związana niestety z dodatkowym zabiegiem chirurgicznym, nieobojętnym, a niekiedy nawet niebezpiecznym dla chorego. Chrząstkę konserwowaną po-



Różne formy mas plastycznych, używanych do operacji kosmetycznych.

za tym trudno jest otrzymać i nie można jej długo przechowywać.

Tak więc zastosowano tworzywa sztuczne — masy plastyczne. Jedną z nich — „Egmass 12” jest koloru lekko żółtego, ma specjalną sprężystość, jest nielamiwa, a zarazem dobrze zachowuje nadaną jej formę. Jest odporna na wodę, kwasy i zasady. Jak dotychczas wykonano już szereg zabiegów z zastosowaniem najnowszego środka np. przy zapadnięciu nosa przy zniekształceniu kości czołowej, przy zniekształceniu i brakach w okolicy oczodołów — połączonych z uszkodzeniem lub nawet stratą kości policzkowych, lub kości nosowej; wreszcie przy braku małżowiny usznej.

Niesłuchanie ważne dla pacjenta

W większości wypadków osiągnięty był tak wspaniały wynik kosmetyczny, że nie było można wykryć uprzednich zniekształceń. Chirurgia otwierała się więc przed szturmem oddziaływania medycyny przeciwko zniekształceniom, brzydotcie i depresji psychicznej, wynikającej z ułomności fizycznej i kalektwa. Usunięcie kompleksu niższości, przywrócenie człowiekowi jego wiary we własne siły, w wartość jego życia i przydatności jego pracy — oto wielkie społeczne zadanie, które spełnia.

Na podstawie artykułu w czasopiśmie „Chirurgia” (nr 4 — Moskwa, 1954) i pracy A. E. Banera i N. M. Michelsona („Plastyczne operacje twarzy” — Moskwa 1954) — opracowała H. MICEWICZ-ZABĘSKA

Traper z MUSK-O-GEE

(Ciąg dalszy ze str. 2)

historie, które mogłyby Roya najwięcej zainteresować.

Rozpoczął od tego, jak całe życie lasu związane jest ściśle z obfitością występowania zajęcy i lemingów, względnie też z ich niedostatkami: te dwa rodzaje zwierząt stanowią bowiem główne pożywienie wszystkich mięsożernych zwierząt. Ilość zaś zajęcy waha się stale w zależności od pewnych tajemniczych reguł. Niekiedy wzrasta ich pogłowie w jakiś zadziwiający sposób, aż osiągnie pewną krańcową liczbę. Po tym dochodzi znowu z jakiegoś niezrozumiałego powodu do ich zupełnego wymarcia, co przy pisaniu należy pewnej epidemicznej chorobie żołądkowej. Równowaga życia lasu zostaje zachwiana, a zajęcy i lemingi zaczynają się znowu rozmnażać.

Burke wyjaśnił Royowi, że występowanie albo brak jednego z owych dwóch rodzajów zwierząt wywiera decydujący wpływ na istnienie i życie bobra. Gdy nie ma zajęcy, wówczas lis i ryś zmuszone są szukać innej ofiary i napadają na łasicę oraz tchórzka.

Wilki polują wówczas na jelenie, a specjalnie na wapiti, również na jeżowierza. Godnym pożałowania jest w takich okresach los myszy. Rzucają się wówczas na nie wszystkie inne drapieżniki lesne. I to z niezwykłą łapczywością. Taki sam los spotyka kuropatwy, które nagle stają się ulubioną zdobyczą rysia, lisa i łasicy! Nawet puszczyk zmuszony jest przystosować się do nowych form życia i rzuca się na większe zwierzęta... Oczywiście, jeżeli brak lemingów, bądź zajęcy. Skoro już w tym życiowym kręgu niż osiągnie swe ostateczne granice, nie można spotkać żadnego zajęcia.

Jeszcze nigdy nie był Roy tak mocno zajęty pasjonującym go tematem. Cała okrutna logika życia stała się mu jasna.

— Powiedział Pan — zapytał Roy — czy w Musk-O-Gee były zawsze jelenie i wapiti, albo czy przy wędrowaniu one tu ze Stanów Zjednoczonych?

Trzech mężczyzn w wyraźnym napięciem oczekiwali odpowiedzi, a najwięcej sam Roy.

— Musk-O-Gee znajduje się w okresie zanikania zwierzostanu — rozpoczął Burke — zgodnie z prawem przyrody i praw trapeza. Zwierzyna, która tu jeszcze przebywa, skazana jest praktycznie na samobójstwo. Nie ma najmniejszego widoku na powiększenie jej pogłowia... wędruje na północy!

— Czy ta zwierzyna powróci znowu pewnego dnia? — wtrącił nerwowo Roy.

— Burke rozumiał dobrze, z jakiego powodu chciał Roy znaleźć odpowiedź na to pytanie. Spojrzał na niego i zdecydował się niczego przed nim nie ukrywać.

— Nie, Roy! odpowiedział jęszcze z większym spokojem. — Nie powróci już nigdy! Poszczególne sztuki będą tu jeszcze przez pewien czas przebywały. Przeważa jednak liczba zwierząt futerkowych, jak: bóbr, łasica i szczer płożowy przędzące się będą. Niejedne gatunki ulegną zupełnej zagładzie, inne znowu staną się okazami wyjątkowo cennymi. Tego rozwoju wypadków nie da się utrzymać. O ile oczywiście rząd nie wyda zarządzeń, na mocy których połowa obszarów Musk-O-Gee zostanie wyjęta spod obstrzału i stawiana siel... Gdzie indziej, oczywiście, ustanowione zostaną tereny ochronne dla bobra i szczeru płożowego...

— To chyba teraz... zamierza się wprowadzić, prawda? — zapytał Roy.

Burke podniósł się i niespokojnie zaczął chodzić po chacie.

— Nie wiem, co rząd zamierza, Roy! Coś jednak zamierza... Może uznać cały ten teren za rezerwat, albo też tylko część jego. Nie wiem!

— Kiedy to może nastąpić?

Burke uniósł ramiona.

— Może w przyszłym roku, a może nastąpi to w następnych... Pewnego dnia jednak to nastąpi.

— Wówczas to już skończą się czasy dla traperów w Musk-O-Gee?

— Tego nie powiem! — odparł Burke. — Tobie nie wolno nie widzieć korzyści, płynących z tworzenia rezerwatów. Pewnego dnia okazać się one mogą jedynym ratunkiem dla traperów...

— Jaką korzyść przyniesie nam zwierzyna w rezerwacie?

— Wcześniej czy później, chroniona w rezerwacie zwierzyna rozpocznie się od nowa rozmnażać, a przydzielone jej tereny nie będą już zdolne dostarczyć jej wystarczającego pożywienia. Wprawdzie w chwili obecnej nie stanowi dla nas żadnej pochyłości, a jednak, biorąc całą sprawę szerzej — rezerwaty owe zapewniają traperom poważną i jedyną nadzieję.

Roy dostrzegł słusność tego dowodzenia, lecz nie przyniosło mu ono żadnej ulgi. Smutny los Musk-O-Gee zbliżył się do tyka...

Tłum. Jan Makowski

Monolog posepny

Good morning! Och drogi panie, jakże się cieszę, że pana spotykam. Wreszcie ktoś ze starej gwar dli. Małeńki spacerek w pańskim towarzystwie to prawdziwa rozkosz. Zresztą nie wi dzieliśmy się tyle lat. Przejdźmy na drugą stronę. Tam cień a tu słońce. Nawet klimat w tej nowej rzeczywistości jest poniżej wszelkiej krytyki. Pomyśl pan: w Londynie w lipcu mgła pieszczotliwie otula całe miasto, śpiący przyjemny deszczyk, krajobraz pełen monarchistycznego patosu. A u nas co? Słońce! Taka jasność, w której wszystko widać.

Zapali pan papieroska? Please, angielskie! Przed południem palę tylko angielskie cigarette, a po obiedzie amerykańskie cygara. Co, wspaniały tytoń. Niech pan głęboko wciąga. To przecież woń Zachodu. Gdy palę i wdycham ten aromat to formalnie odżywam. Patrz pan, co oni wyrabiają. Na skwerze zasadzili kwiaty, naturalnie czerwone. Nawet róże zaprzęgnęli do rydwanu swojej propagandy. Oburzające. No, ale na całe szczęście czło wiek ma swój rozum i broni się jak może. Wie pan na czym polega moja samoobrona. Kupuję, zbieram, kolekcjonuję, to wszystko, co ma jakikolwiek związek z Zachodem.

Wczoraj na przykład nabyłem okazjnie oryginalne amerykańskie ineksprimable z matowego nylonu. Wspaniale! Powiadam panu cud! Jak się rozciągnie można z tego zrobić namiot, albo firanki. Zwinęte wsadzi pan do kieszonki zamiast chusteczki. Genialne? To się nazywa kultura. Przed tygodniem nabyłem przez grzechność skrzynię autentycznej made in USA gumy do żucia. W stu smakach. Jest tam między innymi guma o upajająco poetycznej nazwie

„wargi twojej dziewczyny”. Fenomenalne!

Niech pan wpadnie do mnie choćby jutro. Mam zbiór skarpetek mandarynowych, ostatnich z okresu Czang-Kai-szeka. To jest co prawda wschód, ale ten dawny zachodni Wschód.

Gdy dokuca mi śpień wystarczy, że założę matowe ineksprimable, pożyczę trochę „pip-gum-lip” i popatrzę sobie na skarpetki mandarynowe — zaraz wraca mi życie

i humor. Co pan mówi? Że szczerze współczuję panu mnie i mojemu otoczeniu? Że należy do wymierającego gatunku? Że takich jak ja zamyka się w szklanym pudle i wystawia w muzeum w charakterze okazu?

Czy to miałyby znaczyć, że pan nie podziela moich poglądów? Od razu trzeba było tak powiedzieć! Przecież ja... ha! ha! żartowałem, a wy, obywatelu, przyjeżdżacie to za dobrą monetę. Ha! Ha! Ha! Doskonale dowcip! No, muszę wam powiedzieć drogi towarzyszu, że jestem z waszej postawy zupełnie zadowolony. Tak... a zatem precz z imperialistyczno-kapitalistycznymi miazmatami pseudo - kultury faszystowskiego Zachodu! Co, zgadzacie się ze mną? A widzicie, od początku byłem przekonany, że mam do czynienia z pozytywną jednostką.

Paweł Rewicz



Gdzie jest Marysia?

DRAMATYCZNE POSZUKIWANIA TRAGICZNIE ZAGINIONEJ — DOBRODUSZNY LOKATOR W ROLI SHERLOCKA HOLMESA — KAPRYSY AUTOBUSU PKS MAGAJĄ WYJAŚNIC PONURĄ TAJEMNICĘ

RZECZ ROZPOCZYNA I DZIEJE SIĘ NA RAZIE W POZNANIU

Organizatorka kolonii z Prezydium MRN była zadowolona. Wczoraj rzychem rankiem odwozila dzieci na kolonie w Liskowie. Pięknie jest w tym Liskowie — myśli ob. organizatorka, a żal, że nie jestem dzieckiem. I jak tu rozumieć tych rodziców, którzy nie wysłali swych dzieci? Wszystko przez ten brak uświadomienia i zaufania. Muszę to wytknąć.

Organizatorka wytknęła. Jeszcze w tym samym dniu ob. Bożena Marchwicka zamieszkała przy ul. Rolnej 23 w Poznaniu, została powiadomiona, że postąpiła bardzo nieładnie, nie posyłając córki swej Marysi na kolonie.

Wprawdzie mama Marysi była nieco zdziwiona i usiłowała prze

konać organizatorkę, że córka jej w dniu 1 lipca, ściśle według planu, poszła na dworzec, ale takich naiwnych wyjaśnień nie można było traktować poważnie. Przecież ob. organizatorka osobiście odwoziła dzieci do Liskowa i wie doskonale, że Marysi Marchwickiej, lat 15, wśród nich nie było.

Niektórzy twierdzą, że mamusi Marysi zrobiło się po tych słowach nieco gorąco.

RZECZ DZIEJE SIĘ NA RAZIE W OBRĘBIE DOMU NR 23 PRZY UL. ROLNEJ

— Może zabłądziła? — Może wsiadła do innego pociągu? — Może spóźniła się i pojechała następnym? — Może ją wilki zjadły? — Może zakochała się w Elku Grabowskim i uciekla z nim do Szklarskiej Poręby? — Może...

Narada trwała długo, i jak na wszystkich naradach świata, mówili wszyscy i bardzo wiele. Jeden tylko człowiek — lokator ob. Marchwickiej siedział cicho i milcząco palił papierosa. Niektórzy twierdzą, że ten jego spokój był bardzo podejrzany.

RZECZ W DALSZYM CIĄGU DZIEJE SIĘ I NABIERA ROZMACHU

Oto lista ludzi i instytucji, którzy, zaalarmowani w wyniku narady przy ul. Rolnej, zachowali się nader tajemniczo:

- kierownictwo kolonii w Liskowie (dwukrotny telefon)
- szpitale miasta Poznania
- personel dworca głównego
- krewni i przyjaciele
- Komenda M. O.
- radiostuchaczce rozgłośni po znajskiej.

Mianowicie wszyscy wyżej wymienieni odpowiadali: „nie, takiej u nas nie ma i nie było”.

RZECZ STAJE SIĘ CORAZ BARDZIEJ TAJEMNICZĄ, BO OTO OB. LOKATOR WYJEŻDZA Z POZNANIA

Kierownik kolonii w Liskowie był zaniepokojony. Czujność się w nim niepokoiła. Od kilku



— Nie chcę, żeby widziały, jak rozwija się we wsi spółdzielnia produkcyjna...

Krytyka

— Kiedy zaczynamy krytykować kierownictwo, Kowalski czy je się jak ryba w wodzie...

— Co mówisz? Tak ostro występuje?

— Nie. Milczy...

— Zdrowo nas krytykuje ten pracownik! Czyż to krewny?...

— Nieczyj.

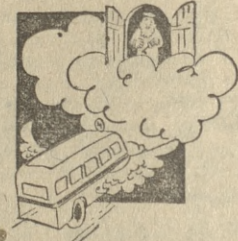
— Nieczyj? W takim razie, w jaki sposób dostał się do naszej instytucji?...

na amerykańską



ODJAZD DO NIEBA — AUTOBUS NR 4

Zamerykanizowana sekta religijna, tzw. „Świadków Jehowy” prowadzi niezmiennie krzykliwą działalność w Niemczech zachodnich. Oto niewielka próbka jej zgola nowatorskich pomysłów:



W bawarskiej gazecie „Landshuter Zeitung” ukazało się ogłoszenie sekty, zwrócone do „wiernych i sympatyków”. Brzmiało ono dosłownie tak: „Jutro w naszej sali modlitwy! Zagadka śmierci! Tam, gdzie znajdują się nasi ukończeni zmarli! Najlepsze połączenie autobusem nr 4”.

Ano — stacja końcowa — niebo. Powrót po sądzie ostatecznym.

MALARZ — NUMEROWY

Każdy bogaty Amerykanin ma swego bika. Chce być czymś więcej niż dolaro-robem. Jeden więc udaje obrońcę demokracji — i jest ambasadorem w Gwatemali. Inny kupuje w firmie wydawniczej gotową książkę, którą ktoś inny napisał — i ją podp



suje jako własną. Trzeci próbuje zostać artystą — malarzem.

Ostatnio pewna firma nowojorska odkryła nowe, niesłychane udogodnienia dla „popelniania” sztuk plastycznych przez zamożnych Amerykanów. Sprzedaje bowiem im mniej niż więcej — tylko schematy obrazów. Wygoda artysty z książeczką czekową po sunięta jest do niesłychanej perfekcji. Zakreślone pola przyszłego arcydzieła są ponumerowane, a „twórca” bez trudu może odzyskać odpowiedni kolor w numerowanej palecie, sprzedawanej za dopłatą paru dolarów.

Takie zabawki znaliśmy. Wiele z nas bawiło się nimi w wieku dziecięcym. Ale dorodzi!

Pozostaje nam więc tylko czekać na „numerowanych” Rembrandtów, Rubensów i Leonarda da Vinci.

CALUJ MNIE PO CIEMKU!

Wierni pewnej gminy ewangelickiej w Paryżu zatopieni byli w modlach, gdy nagle zgłosił w kościele światło. Po chwilowej konsternacji, wywołanej panującymi ciemnościami, rozległy się



wesołe śmiechy. Wszyscy wierili wpatrzni byli w miejsce — gdzie stał pastor. W mroku świeciły się na jego krawacie wyraźne słowa, niekoniecznie odpowiadające miejscu i nastrojowi. Brzmiały one dosłownie: „Caluj mnie po ciemku!”.

Pastor otrzymał niedawno ów krawat od krewnego z Ameryki. Niebiorak nie znalazł jednak osobliwych właściwości „nocnych” przentu...

Jak nie powinna wyglądać pomoc miasta dla wsi

Janusz Biniek